

Wychodzi w niedzielę

Redaguje Komitet

T Y G O D N I K

poświęcony sprawom Wychowania Fizycznego i Przynależności Wojsk. na terenie O. K. VIII

Rok II.

Niedziela, dnia 24 lipca 1932 r.

Nr. 30.

T R E Ś Ć :

Dział ogólny: W rocznicę bolesnej komedji plebiscytowej. Stanisław Hazner — lotnik polski. Indjanie z peruwiańskiej Montanji. Oferma. „Trzeba w górę iść” — wiersz.

Wychowanie obywatelskie: Jak odzyskaliśmy i obroniliśmy niepodległość.

W. F. i P. W.: Przy ognisku. O upręży.

L. O. P. P.: Gazy w wojnie przyszłości.

Wiadomości z kraju i zagranicy: Kącik harcerski. Z życia Policji. Kolejarze pod bronią. Komunikat Pom. Okr. Zw. Gier Sport. Kronika sportowa. Z tygodnia.

Rozrywki umysłowe. Wesoły kącik. Ogłoszenia.

W rocznicę bolesnej komedji plebiscytowej.

Dnia 15 lipca minęło 12 lat od daty pamiętnego, bezkrwawego boju, jaki wiodła Polska z Niemcami o ziemie warmijsko-mazurskie. Bój ten Polska przegrała; cały teren sporny, obejmujący powiaty: Sztumski, Suski, Malborski i Kwidziński (poza paru zaledwie gminami) z półmilionową rzeszą Polaków — pozostał pod władzą Niemiec.

Dziwnym może się wydać taki obrót sprawy. Przecież obszar plebiscytowy obejmuje prapolskie ziemie, od wieków zamieszkałe przez słowian, wydzielane niejednokrotnie z łap pruskich, a następnie związane węzłem lenniczym z Rzplitą Polską. Przecież dumni książęta pruscy — władcy tych ziem — korzyć się musieli przed majestatem królów polskich i czołem bić w but polski. Przecież ludność ziem tych zachowała swój polski charakter, walcząc zaciekle przez półtora stulecia z pruską polityką wynaradawiającą; przecież niemieckie statystyki przedwojenne przyznają się, że na ziemiach tych polacy stanowią 50 proc. ogółu ludności. Skąd więc ta klęska plebiscytowa i gdzie szukać jej przyczyn? Kto

ponosi odpowiedzialność za smutny los półmilionowej rzeszy rodaków naszych, którym nie zaświtała dotychczas jutrzeńska swoboda? Na czyje sumienie spada ciężar moralnego gwałtu, zadanego uczuciom narodowym Warmiaków i Mazurów?

Leży przede mną pewien dokument — straszny w swej nagiej prawdzie, suchy i zimny, a jakąż okrutną wymowę posiadający. Bije z niego w niebiosa krzyk duszy polskiej, brutalnie skrzywdzonej. Jest to „Protest do Wysokiej Rady Sprzymierzonych i Skojarzonych Mocarstw”, wystosowany przez Warmiński Komitet Plebiscytowy dn. 4 czerwca 1920 r., a więc na miesiąc przed plebiscytem. Dokument ten daje odpowiedź na powyższe pytania, rozcina bezlitosnym ostrzem prawdy wszelkie wątpliwości, wskazuje palcem na winowajcę.

By zapewnić plebiscytowi atmosferę równości, wolności oraz swobody wypowiedzenia się głosujących — zjechała na teren sporny Komisja Międzysojusznicza, składająca się z przedstawicieli Francji, Anglii i Włoch. Komisja ta sprawowała rządy

nad terenem plebiscytowym, oparta o wojska sprzymierzonych mocarstw, które wkroczyły do Prus. Wydała szereg pięknych rozporządzeń, gwarantujących ludności „równość i swobodę wypowiedzenia się, wolność publicznych zebrań, wieców oraz propagandy”. Jednocześnie ogłosiła dekret, który nakazywał „natychmiastowe usunięcie urzędników pruskich (landratów) oraz organizacji o charakterze wojskowym z terenu plebiscytowego”. Zdawałoby się, że tak piękne dekrety stworzą sielancką atmosferę, w której Mazur pod pachę z Prusakiem pójdą sobie spacerkiem do lokalu wyborczego i każdy spełni to, co mu sumienie podyktuje.

A teraz zobaczymy, co mówi o tej atmosferze Warmiński Komitet Plebiscytowy. Jak to było np. z tą wolnością zebrań i swobodą propagandy? Oto:

„Dnia 29 lutego rozbity został wiec polski w Malborku przez bandę „Heimatsvereinu” —

„dn. 13 kwietnia — bandycki pogrom Polaków w Biskupcu: raniono wiele osób, zagrabiono pieniądze prywatnych osób (!), pogruchocono polskie samochody —

„dn. 16 maja rozbito pochód polski w Kwidzynie przez bandę „Sicherheitswehr'u“, uzbrojoną w rewolwery i bagnety (!) —
„udaremiono wiece polskie w Benewie, Prabutach i Schönwiese —

„dn. 21 czerwca zagarnięto w Malborku kurjerowi Jaskólskiemu worki z gazetami, ulotkami i... paczkami wartościowymi —

„skłuto bagnetami w Prabutach dwóch kurjerów polskich, nalepiających odezwy —

„zrywano w Kwidzynie w biały dzień polskie odezwy pod ochroną (!) uzbrojonych w bagnety członków „Sicherheitswehr'u“ i t. d., i t. d. Protest kontynuuje ponurą tę litanję na dwóch stronach pisma maszynowego!

A jak to pakowali manatki landraci pruscy i owe wojskowe organizacje, skazane na wygnanie przez dekrety Komisji Międzysojusznicej?

„Zaden landrat nie ustąpił ze swego stanowiska — skarży się protest; mało tego: uprawiają panowie ci zacieklą propagandę antypolską, posuniętą aż do... **falszowania paszportów i fabrykowania w ten sposób „lojalnych“ pruskich obywateli, uprawnionych do głosowania.** Dziełnie sekunduja im w akcji „uświadamiającej” **nauczyciele**

niemieccy — członkowie „Heimatsverein'u“, głosząc w szkole i poza szkołą „dobrodziejstwa“ rządów pruskich i wprzegając do brudnej swej roboty dzieci szkolne. Ale w gorliwości wykadzania cnót niemieckiego regime'u rekord pobiło **duchowieństwo pruskie**. Oto biskup Bludau we Frauenburgu — członek „Grenzschutz'u“ (!) — wydaje bullę do podległych sobie księży, nakazując (!) **wpływać na ludność polską, aby się za Niemcami oświadczyła i stosując do opornych sankcje kościelne (!)**. Proboszcz Mayske z Malborka wystąpił do prezesa rejencji w Królewcu z wnioskiem o sprezentowanie mu 2000 marek celem „odrestaurowania sił i zdrowia, **starganego antypolską propagandą**“ (dosłownie!). Tak pojmowali swe obowiązki ci pruscy „słudzy Chrystusa”...

Nie mniej dekret o „wylaniu” z terenu plebiscytowego podejrzanych organizacji wojskowych pozostali li tylko dekretem, wyrażającym dobre chęci członków Komisji. W litanji „pogromów“ polskich niepoślednie miejsce odgrywają wszelakie „Sicherheitswehr'y“ — zdobne w bagnety i rewolwery. Że nie były to organizacje, mające na celu np. opiekę nad zwierzętami, świadczy fakt, iż włoscy żołnierze otrzymali rozkaz salutowania

ich członków (!). Wynieśli się molojcy, ale... na tydzień przed plebiscytem, zrobiwszy wpieryw porządeczek wśród „opornych Mazurów“... pałkami i bagnetami. Zasłużyli się „swobodzie i wolności wypowiedzenia się“, stworzyli zaiste „sielankową“ atmosferę, za którą tak tęsknili twórcy dekretów.

Tyle mówi protest Warmińskiego Komitetu Plebiscytowego. Wystarczy tych słów, by każdy Polak zrozumiał, jak ohydny komedję odegrała „racja dyplomatyczna“ na prapolskiej ziemi mazursko-warmińskiej. Wystarczy, byśmy uświadomić mogli sobie krwawą krzywdę, wyrządzoną rodakom naszym przez pruskich aranżerów owej komedji i dołączyli protest swój — protest całego Narodu — do bolesnego krzyku pogwałconej duszy rodaków za kordonem. Protest ten będzie najlepszą oceną podłej pruskiej komedji, rozegranej na skrawku żywego ciała Ojczyzny, krwawiącego pod rżniętymi batami pruskiego.

Nie wyrzekniemy się Warmji i Mazurów! Powtórzymy — gdy czas nadejdzie — plebiscyt, ale tym razem prawa swe wypiszemy nie na kartkach, wrzucanych do urn — lecz bagnetami na pruskiej skórze!

L. M.

Cykl: „Jak odzyskaliśmy i obroniliśmy niepodległość“.

X. Wstrzymanie werbunku do Legjonów. P. O. W. Dymisja komendanta Piłsudskiego.

Opisane w poprzednich artykułach wypadki, a szczególnie poniesiona w 1915 roku przez Rosjan klęska, wyparcie ich poza granice ziem polskich oraz nieudana ofensywa Brusilowa — zmieniły gruntownie sytuację Legjonów. Komendant Piłsudski odrazu zorjentował się, że po poniesionej klęsce **Rosja już się nie podźwignie**, że potęga jej została raz na zawsze złamana, wobec czego nie przedstawia ona już dla Polski większego niebezpieczeństwa i dalsza walka z nią staje się bezcelową. Bezcelowym też stawał się dalszy rozrost Legjonów, walczących po stronie państw centralnych. Z chwilą, gdy Rosjanie opuścili Warszawę i chwiać się zaczęli na całym froncie, **oręż niemiecki i austro-węgierski przestał być sojusznikiem niezbędnym**. Należało ten pozorny sojusz zerwać!

To też Piłsudski, który cały czas dążył do utworzenia Polski niezależnej w całym tego słowa znaczeniu, a nie połączonej z Austrią, w myśl planu N. K. N-u, lub też związanej ścisłym sojuszem z państwami centralnymi — rzuca hasło: **nie rozszerzać Legjonów, wstrzymać dalszy werbunek, zaś cały ciężar dalszej walki o niepodległość przerzucić na istniejącą już tajną Polską Organizację Wojskową (P. O. W.), zwróconą przedewszystkiem przeciwko nowym okupantom — austro-niemcom**. Piłsudski uważał, że rola Legjonów zasadniczo już się skończyła. Zadaniem ich było obudzić w narodzie **dążenie do niepodległości i wiarę we własne siły**. Zadanie to zostało w znacznej mierze spełnione.

Na tem tle między Piłsudskim, a lojalnie względem Austrii usposobionym N. K. N-em nastąpił

rozdźwięk. Większość członków Komitetu uważała, że właśnie teraz nadeszła chwila tryumfu ich poglądów, że właśnie teraz należy Legjony rozwinąć jaknajszerszej i że sytuacja ku temu jest nadzwyczaj pomyślna. Ludzie ci nie mogli zrozumieć, dla czego twórca Legjonów — w chwili najpomyślniejszych warunków do ich rozwoju — niszczy sam własne dzieło.

To też N. K. N. nie usłuchał hasła Piłsudskiego zaprzestania werbunku. Szef Departamentu Wojskowego N. K. N-u, pułk. Sikorski (obecnie generał), rozpoczyna bardzo ożywioną akcję werbunkową... z bardzo mizernym rezultatem. Bo społeczeństwo polskie, szczególnie młodzież, **zaczyna już częściowo rozumieć ideę Wodza**. Nie słucha wezwania wstępowania do Legjonów, a gremjalnie zapełnia szeregi P. O. W.

Zadaniem tej nowej organizacji było **wywalczenie przy pierwszej nadszłej sposobności całkowitej niepodległości Polski**. Wyszukanie wojskowe spoczywało w doświadczonych rękach najlepszych oficerów i podoficerów legionowych. Emisarjusz Józefa Piłsudskiego rozproszyli się po całym kraju i we wszystkich prawie wsiach, miasteczkach i miastach zakładali coraz to nowe placówki P. O. W., przeciwdziałając równocześnie akcji werbunkowej agentów N. K. N-u. W krótkim czasie liczy P. O. W. **kilkanaście tysięcy członków**, a liczba ta z każdym prawie dniem wzrasta. Pod względem bojowym staje na bardzo wysokim poziomie; pod względem ideowym jest zupełnie jednolita i spoista. Dla państw centralnych P. O. W. staje się wielką i groźną zagadką. Widzą w niej siłę, nie wiedzą jednak dokładnie, przeciw komu siła ta zostanie skierowana.

Ale i Legjony są wówczas jeszcze potrzebne, więc Piłsudski utrzymuje je. Uważa, że dopóki państwa centralne w sprawie polskiej wyraźnie nie wypowiedziały się — bagnety legionistów mają jeszcze swoją rację bytu. Muszą one nadal oficjalnie utrzymywać na forum międzynarodowym kwestję polską.

Piłsudski świadomie i konsekwentnie dąży do tego, by państwa centralne **jasno i bez obłonek oświadczyły, co zamierzają w sprawie niepodległości Polski uczynić**. W tym celu w pierwszej połowie 1916 r., gdy Legjony obsadzały „Polską Górę” (pod Kostiuchnówką na Wołyniu), z polecenia komendanta Piłsudskiego **zainscenizowano swego rodzaju „bunt”**. Utworzona t. zw. „Rada pułkowników” postawiła dowództwu austriackiemu szereg zadań, jak: całkowite uniezależnienie Legjonów od władz wojskowych austriackich, utworzenie z nich „Polskiego Korpusu Posiłkowego” i t. p.

Gdy zaś żądania te nie odniosły pożądanego skutku, **Piłsudski w lipcu 1916 roku podał się do dymisji, a w ślad za nim zaczęli masowo wycofywać się z Legjonów i legjoniści**. Królewiacze żądali zwolnienia, obywatele austriaccy — przeniesienia do armji austriackiej.

Ten stanowczy krok „Brygadjera” Piłsudskiego spowodował w całym społeczeństwie polskim oraz w sferach rządzących olbrzymie poruszenie i wywołał piorunujące wrażenie. Większość społeczeństwa polskiego nie zrozumiała poprostu doniosłości tego kroku i osądzono, że „Piłsudski sam nie wie, czego chce”. Sfery, zbliżone do N. K. N-u, przyjęły fakt ten z oburzeniem, przewidując konflikt z „przychylnie do sprawy polskiej usposobionym rządem austriackim”, szczególnie z powodu masowego wycofywania się z szeregów legionistów; wszelkimi siłami starano się „błąd” ten naprawić. Nawet wśród grona gorących wielbicieli ruchu zbrojnego krok ten nie został należycie zrozumiany; wywołał on pewne zakłopotanie i różnorakie sądy. Oskarżano Piłsudskiego, że cofa się z drogi, którą sam poprzednio obrał i czynem krwawym uświęcił, że łamie wojsko, które sam stworzył i t. d. Nie rozumieli wówczas ci „maruderzy” idei Piłsudskiego, że, łamiąc Legjony, **łamał on nie wojsko polskie, ale poczynające krzepnąć formy zależności wojska tego od obcych**.

I tylko nieliczna garstka żołnierzy Piłsudskiego rozumiała całą doniosłość kroku Wodza. Zrozumiała, że rzucone zostało oficjalnie wyzwanie dotychczasowym „sprzymierzeńcom” — państwu centralnym, że w interesie polskim leżało, aby rosjanie zostali wyparci z granic ziem polskich, ale nie leżało w naszym interesie, aby nowi okupanci zajęli ich miejsce. To też od tego momentu datuje się **po-**

czątek otwartej i bezwzględnej walki z nowymi okupantami. Co więcej krok Piłsudskiego — wbrew oczekiwaniom władz zaborezych — został należycie oceniony przez społeczeństwo polskie. Pomiędzy niestrudzonym bojownikiem o wolność a społeczeństwem **nawiązywać się zaczyna ścisły kontakt**. Piłsudski z wodza Brygady Legjonów przekształca się stopniowo w Wodza Narodu. I tylko „oficjalne” przedstawicielstwa opinji polskiej — różne komitety i komisje — **trwają nadal w pokorze i służalstwie względem wojujących „potęg”**.

N. K. N. „trudzi się” gorliwie nadal nad połączeniem zdobytych ziem Polskich pod miłościwym berłem cesarza austriackiego. Wiedziony zdrowym instynktem naród zaczyna jednak odwracać się od tych pokornych polskich „dyplomatów” i coraz liczniej zapełniać szeregi P. O. W.

Jakże zareagowały na to wyzwanie państwa centralne? W pierwszym momencie dymisja Piłsudskiego została przez nich przyjęta skwapliwie, gdyż sądzili oni, że po ustąpieniu tego mocnego i nieustępliwego człowieka Legjony staną się w ich rękę powolnym narzędziem. Kiedy zaś przekonali się, że nadzieje ich są płonne, że Legjony mogą zupełnie rozlecieć się — zaczęli ustępować.

Państwa centralne potrzebowały bowiem nie tylko żołnierza polskiego, potrzebowały również **dobrej opinji wobec całego świata**. To też już wkrótce po ustąpieniu Piłsudskiego uwzględniono prawie w całości dawne żądania „Rady pułkowników”, przyznano Legjonom nazwę Polskiego Korpusu Posiłkowego, dano im dużą samodzielność oraz chorągwie narodowe, a w parę miesięcy później, w listopadzie 1916 roku uczyniono krok dalszy — **uznano niepodległość Polski**.

M. H

(C. d. n.)

JAN MIŁEK.

Trzeba w górę iść...

Kto po laurach spada z chmury —
Serce sobie truje...
Trzeba z nizin iść do góry,
Wyżej... wyżej... poza chmury!

W nanizane z perł sznury
Skoń ten udrapuje,
Kto po laury szedł przez chmury,
Kto moc ducha czuje...

HENRYK ZIELIŃSKI,
Boniewo - Stary Brześć.

Przy Ognisku.

(Obrazek z życia Strzelców.)

Był ciepły, lipcowy wieczór... Rozszumiał się modlitwą wieczorną nadwiślański las, rozkołysały, rozhworzyły się stare, wysokie sosny. W dole płynęła wstęga Wisły; srebrzyście połyskiwały fale, poruszały się, lekko kłębiły i uciekały hen w dal, do morza. Ówdzie pluśkały wesoło rybackie łodzie, śpiesząc z rybakami na nocny spoczynek.

Siedzieliśmy na wysokim brzegu Wisły wśród sosen — na polanie. Po całodziennych ćwiczeniach należał się słuszny wypoczynek i „podwójne porcje” z dodatkową „repetą”. A było sporo repeciarczy. To też strzeleckie płuca wciągały z lubością olbrzymie łyki powietrza, na którego całość składały się: normalna atmosfera, 20% woni grochówki, 10% woni mięsnej i t. d. i t. d. Oj, związał się nasz kucharz polowy (w „cywilu” — zwyczajny szewc), dokrawał skórek słoniny (pewno zdawało mu się, że kroci podeszwy) i uśmiechał się do braci strzeleckiej — głodnej, zmęczonej, lecz wesołej.

Siedzieliśmy wokół, wpatrzni w zięjący smakowitą parą kocioł.

— Panie komendancie! Osa to się poprostu w kocioł pcha — skarżył się kucharz.

— Panie komendancie! Nieprawda; ja tylko tak sobie zerknąłem do kotła — tłumaczył się

Osa. Rozgadali się chłopcy na dobre, rozweselali jak mogli, by tylko czas leciał. Ogólną wesołość przerwał donośny głos kucharza, który z ogromną łyżką w rękę meldował gromkim głosem: — gotowe!

Przy dźwiękach menażkowo-łyżkowych i przy świecących zadowolaniem „pyskach” braci strzeleckiej przeszła pora kolacji.

Specjalni wartownicy mieli za zadanie dorzucać drzew do ogniska, byśmy całą noc mieli ciepło i światło. Chłopcy pootulali się w płaszcze i pokładli wokół ogniska — a ja zacząłem im opowiadać o świecie, o współżyciu narodów, o wojnach. Gdy doszedłem w opowiadaniu do dzisiejszych wypadków w Niemczech i z „Mł. Gryfa” przeczytałem artykuł p. t. „Arabskie awantury w porcie Gdańskim” — Osa nie wytrzymał. Chociaż repeciarcz, ale dzielny chłop! Zerwał się na równe nogi, zrzucił płaszcz — w oczach zabłysnął mu ogień. Zacisnął pięści, aż chrupnęło w kościach i zaczął przez zęby szoptać z taką siłą, że dreszcz gorący nas przeszedł:

„Wy, pludry, psiekrwie! Pachnie wam nasza ziemia, pachną wam nasze bogactwa. O, niedoczekanie wasze — jakim Osa — nie damy ziemi, nie damy, póki w nas krew chlupie! Nie damy wam, Niemcy, tej naszej Polski — wara wam od na-

szych gniazd!”

Zerwaliśmy się jak jeden mąż i z piersi naszych wionęła w przestrzeń pieśń potężna, manifestacyjna:

„Nie rzucim ziemi — skąd nasz ród“...

Obudził się las, połączył swój śpiewny szum z pieśnią i szła w niebiosa przysięga, szedł odgłos naszego umiłowania tej matki — ziemi naszej.

Pocziwy Osa — taki prosty, gruboskórny syn tej ziemi, a takie wielkie serce. Kochani chłopcy.

Cisza. Ponad wstęgą wiślaną, ponad lasem unosi się biała płachta mgielna; spowiła moich chłopaków w słodki sen. Nie mogłem usnąć. Słowa Osin'skiego wytrąciły mi z równowagi. Zdawało mi się, że jesteśmy gdzieś w polu, że nadchodzi nieprzyjaciół i należy czuwać...

Gdzieś w dali zarysował się niewyraźny obraz sunącego powoli statku rzeczno-

Oparłem się o pień sosny, przeniosłem swój wzrok ponad wstęgę Wisły i zacząłem marzyć. Tam gdzieś, daleko — matka i rodzzeństwo i czyjeś ciemne oczy śmiały się do mnie. Kocham ich wszystkich — są mi najdrożsi... I naraz zadałem sobie pytanie: Coby było, gdybym musiał teraz iść na wojnę? Czyjeś ciemne oczy patrzyły na mnie błagalnie z jasnej pozamglonej dali i cze-

L. M.

Oferma.

(Obrazek z życia młodzieży wiejskiej).

(Ciąg dalszy).

— Takiś mi mądry — syknął przez zaciśnięte zęby Franek i postąpił krok naprzód. — Trzymaj ozór, pokrako, wymoczku, śmierdzielu... — tu nastąpiła litanja soczystych, dobitnych określeń — i nie szczekaj na ludzi, kiedy cię nie czepiają, bo kulasy poprzetrącam jak Burkowi... Dziadzie kalwaryjski, pomioście zajęczy — bacz, bym ci na gnatach nie wypisał, co o tobie i o całej zdechłej kompanji myślę... Porachujemy się jeszcze, widzi mi się, choć gadasz, że drogi nasze się nie schodzą. Zejdą się, połamańcu, zejdą — ale miarkuj, byś na drodze swojej kości nie rozsypał... Patyczkować się nie będę i ja, a bohaterów twoich się nie ulękniemy; wióry się sypać będą... Podogonia kurzego cała ta twoja armja nie warta — to i wygrażać się nie masz co, kukło śmierdząca. Nie zastraszyś — lep-

szych widzieliśmy; pies nogi nie podniesie na całą twą robotę... zobaczymy — czyja będzie góra...

Splunął rześsiście, kijem młynka wykręcił, aż powietrze furknęło i zwrócił się do kompanów:

— Marsz! Nie mamy tu co ze śmierdzielami do roboty; łap mazać nie warto. Tkniesz takiego wyskrobka palcem — to ci nad Wisłę lecieć będzie musiał i portki opierać... Cha, cha, cha! Czołem, panie komendancie żółtej armji. Spotkamy się rychło, a może inaczej zaśpiewasz, słowiczku; zmięknieś w dobrych rękach, kanarku, aż sok pocieknie. Za karawan dziękuję — zawsze karawan, choć na dwóch kołach... Uważaj jeno, by ci się nie przygodził... Hajda, chłopcy!...

Ruszył naprzód kaczkowatym krokiem, wzmachując łagą i ciurkając przez zęby. Aloch i Tyczka z nasuniętymi zawadjacko na tył głowy czapkami, pogwizdując fałszywie, człapali za wodzem. Pochód skręcił na drogę i znikł z oczu, jeno przez chwilę słyhać było jeszcze ochryply bas Franka, klarującego coś kompanom.

Antek klapnął zamyślnego chłopca po ramieniu. — Toś nasz. Z pazurów Belzebuba się wyrwał. Głowa do góry, zakasać rękawy i do

kały odpowiedzi. Mimowoli przeniosłem wzrok na śpiących chłopców i zatrzymałem go na jednym z nich. Był to Osa. Ręką drżącą wskazałem na niego — i to była moja odpowiedź... Ponad Ojczyznę niema nic droższego.

Wysokie sosny pochyliły głowy i patrzyły z uśmiechem na śpiących chłopców; strzegły ich snu. Piersi chłopaków unosiły się rytmicznie i wdychały woń leśną, woń ziemi ojczystej, woń oparów wodnych, woń kwiatów; z woni tych rodził się w piersiach kwiat srebrny, o cudnych płatkach z piór białego orła; kwiat ten — to miłość Ojczyzny. Każde odniesione wrażenie dnia codziennego, każde spostrzeżenie — potęgowały z dnia na dzień

miłość do tej Polski naszej, naszej, wiecznie naszej...

Ciemne sylwetki śpiących chłopców otoczone były jakąś aureolą, jakimś cudnym technieniem, któremu imię: Wolność!

Wolność! To wyobrażenie wdarło się do dusz naszych, żarząc się wiecznym świętym ogniem. Wolność — to nasz Znicz. Stoimy na straży tego znicza i nigdy nie zagaśnie; nigdy — póki na ziemi naszej rodzą się Osy. Twarda, chłopska pierś kipi żarem miłości Ojczyzny; w każdym sercu Polaka płonie wieczny znicz... Wolność!!

Cudny *poranek. Słońce wstało i krwawiło na linii horyzontu, zdobiąc widnokrąg w przecudne

barwy świtu. Idziemy drogą leśną zpowrotem — do domów naszych. Nie widać zmęczenia; oblicza są wesołe, roześmiane.

Śpiewamy rozgłośnie, radośnie — melodia płynie w las, łączy się z szumem drzew:

Idziemy do słońca, do jasnych zórz,
O, rzuć nam, dziewczyno, bukiet
[białych róż —

I ślij swe tęsknoty za nami w dal...

A las powtarza nasze pieśni i niesie hen w dal... w dal... Hej! Niejedno serduszko dziewczęce drga żywszym tętnem gdzieś z za płota ogródków wiosek, które przechodzimy; niejedne ciemne oczy śmieją się do nas...

A pieśń płynie, rzewna, słodka, o żołnierzu tułaczku, o koniku siwym i o ciemnych, dziewczęcych oczach.

Ratujcie mój samolot!

Lotnik polski Stanisław Hazner.

W sobotę dnia 4 czerwca depesze ze Stanów Zjednoczonych rozniosły po całym świecie wiadomość, że „lotnik polski Stanisław Hazner wyleciał w piątek 3 czerwca wczesnym rankiem z Linden w Stanie New Jersey do Warszawy, gdzie dotrzeć zamierza około godziny 8 w sobotę wieczorem“. Depesze donosiły jeszcze, że samolot jego — pomalowany na biało-czerwone, polskie kolory — nosił miano Rosa-Maria i że lotnik zabrał ze sobą 50 listów, które zrzucić będzie po drodze.

Imię Stanisława Haznera było w Polsce zupełnie nieznanne. Wia-

domo było z pism, że przed paru tygodniami próbował lotu przez Atlantyk, lecz zawrócił z drogi z powodu niepomyślnych warunków atmosferycznych. Wiadomość o powtórnym locie wzbudziła żywe zainteresowanie: śmiałek to musiał być zacięty i nieustraszony, skoro po niefortunnej próbie zdecydował się ponownie na lot transatlantycki.

W Polsce z godziny na godzinę oczekiwano rodaka z Ameryki. Myśl, że samolot o barwach polskich szybuje gdzieś w przestworzach nad olbrzymim oceanem, a na skrzydłach jego leci ku Ojczyźnie syn jej niezna-

ny z obcej ziemi — sprawiła, że stał on się nam wszystkim bliskim, drogim, kochanym, że z niepewnością, niepokojem i nadzieją oczekiwaliśmy wiadomości o nim. Tymczasem zapanowało głuche milczenie...

W Warszawie na lotnisku daremnie płonęły jaskrawe światłem reflektory przez noc całą, a publiczność rozgorączkowana wpatrywała się w ciemne niebo, nadsluchując warkotu motoru... Zablęsnął poranek — minęło południe, nadeszła noc druga — lotnik polski nie przybył do Warszawy.

Telegramy oznajmiły smutną

roboty! Nadpędzić ci trza, boś odstał trochę od nas. Jutro kopujemy pod wieczór... Zamelduj się u Kołduna po piłkę i ubranie. Trening musimy rzetelny wziąć...

Szli cichą, uśpioną ulicą wioski. Światła pogasły wszędzie; z daleka płynęły tony harmonji i śpiew stłumiony. To starsi chłopcy z wioski ciągnęli na wieczornicę do Kacpra. Przy furcie Antek pożegnał się i ruszył na drugi koniec wioski.

V.

Gwarno i rojno było tej niedzieli na dziedzińcu szkolnym. Zebrało się około dwudziestu chłopców w wieku 17—20 lat, by posłuchać, co też to za dziwy opowiadać będzie instruktor z Żabna. Oczekiwano go każdej chwili. Antek rej wodził w gromadce; szedł od grupki do grupki, przysłuchiwał się, rzucał jakieś słowo, godził spory, uciszał zbyt hałaśliwe dysputy. Był podniecony — policzki pałały mu wewnętrznym, tłumionym ogniem. Czuł, że dzień dzisiejszy przyniesie mu zwycięstwo, że wcieli w życie to, nad czym tyle pracował i przemyślał. I radość wybuchła gorącą falą w piersiach — a serce tłu-

się ze wzruszenia. — Żeby tylko Franek jakiego szpasa nie wystrugał i w paradę nie włożył — przemknęło zimnym chłodem pod czaszką. — Wylizal się nieco po ostatniej łaźni; kuksztyka ci jeszcze i guzami świeci, ale już z pyskiem nasiadł na Wacka i Kołduna, grożąc macaniem gnatów. Utrapienie z tym zbójem; żeby ino instruktor już rychlej przyjechał — westchnął i spojrzał na drogę. Od samego rana biegał od chałupy do chałupy, zbierał chłopców, nagał opieszających, zaciekawiał obojętnych... Napracował się, aż w gardle zaschło. Bo ci kompanja dziobatego Felka na jagody do lasu się wybierała, inni na rzekę się oglądali, Wicek - soltysiak na majówkę do Czerniewa werbował. — Gorący dzień, psia-krew — otarł zroszone czoło. Pod wieczór grają z chojniakami w piłkę... Byle już ten instruktor zjechał...

Koło południa zaturkotało na drodze i w tułanach kurzu przy akompanjamentie psiego ujadania — bryczka zatrzymała się przy szkole. Instruktor — tęgi, opalony na brąz chłop — w asyście komendanta Oddziału Strzeleckiego z Żabna wysiadł z powozu, uściskał serdecznie dłoń Antka,

nowinę, że żaden okręt nie widział po drodze polskiego samolotu. A zatem — zginął! Nie doleciał! Pochłonęły go fale oceanu, a niezmierna mogiła wodna kołysze do wiecznego snu tego, co gnany tęsknotą za ojczystą ziemią — ptakiem chciał do niej przylecieć z za morza i do stóp jej rzucić świeży liść wawrzynu — skrzydlatą sławę lotnika!

Minęło siedem dni... Nagle buchnęła wiadomość nieoczekiwana:

Lotnik polski uratowany! Żyje!

Wyłowili go mały okręciak angielski. Samolot jest nieuszkodzony.

Nadeszły bliższe szczegóły. Podaje je kapitan Wilson, dowódca statku „Circeshell“. Oto w dniu 14 czerwca wieczorem, gdy nad Atlantykiem zachmurzyło się niebo i mgła zaczęła gęstnieć — zauważono na oceanie jakiś mały przedmiot. Przy pomocy teleskopu stwierdzono, że jest to część samolotu, którego dwie trzecie zanurzone są w wodzie. Przyczepiona była do niego jakaś postać ludzka. Kapitan kazał spuścić szalupę i ośmiu ochotników popłynęło ku tajemniczemu podróżnikowi.

Gdy przybliżono się ku niemu, usłyszano wołanie:

— Jestem Stanisław Hazner. **Ratujcie mój samolot!**

Zaprawdę tylko Polak, zawieszony przez tydzień nad otchłanią śmierci, widząc zbawczą pomoc, nie zakrzyknie: „Ratujcie mnie!“ lecz „Ratujcie mój samolot!“

Każdy inny myślałby w pierwszym rzędzie o sobie. Ten — o samolocie, tym ptaku skrzydlatym, który miał Polsce przysporzyć sławy. Gdy szalupa podpłynęła do samolotu, lotnik polski opadł na nią bezwładny — półprzytomny. Jeszcze chwila... sekunda może zwłoki, a byłby zginął w odmętach. Było już bowiem **prawie zupełnie ciemno** na niezmiernym oceanie, a lotnik był wyczerpany do ostatnich granic...

Gdy przywieziono go na okręt — słaniając się na nogach, podtrzymywany przez dwóch marynarzy stanął przed kapitanem i powitawszy go rzekł: — Dziękuję panu, kapitanie; **czekałem na pana od ośmiu dni!** — Po tych słowach zemdlął.

W dwie godziny potem zaparowała na Atlantyku nieprzebita mgła. Okręt „Circeshell“ mógł teraz przepłynąć obok rozbitka, nie zauważwszy go wcale!

Lotnik został ocalony w pobliżu Portugalji. A samolot?

Nieuszkodzony zupełnie, gdyż tylko z braku benzyny musiał się opuścić na wodę — pływa sobie dalej po oceanie; okręt, który wyratował Haznera, był za mały, by wciągnąć na pokład aparat.

Lotnik polski, przyszedłszy do przytomności, prosił o wysłanie depechy z prośbą, by większe okręty starały się wyratować jego samolot. Drugą depeszą zawiadomiono żonę Haznera o jego szczęśliwym ocaleniu.

Zapytana o swe przeżycia przez

pewnego dziennikarza, oświadczyła: „Nie chciałabym nigdy więcej doświadczać czegoś podobnego! Uciekałam od ludzi i modliłam się, ale nie traciłam nadziei. Obecnie jestem bardzo szczęśliwa!“ Pani Haznerowa otrzymała wiadomość o uratowaniu męża po powrocie z kościoła, gdzie gorąco modliła się za niego.

Stanisław Hazner jest synem organisty z miejscowości Jaśliska w Małopolsce. Mały Stasio grywał czasem na organach w kościełku, a może w poważnych, głębokich ich tonach szumiały mu już w dzieciństwie huczące fale Atlantyku...

Do Ameryki wywędrował, jak tyłu naszych wychodźców, w poszukiwaniu chleba. Zabrał tam potem swych rodziców — lecz tęsknota gnała go do Polski i do rodzinnych Jaślisk, gdzie tak bardzo pragnął dolecieć na potężnym polskim samolocie...

I przyleci! Wierzmy! Już teraz widać, że zacięta sztuka z tego Stasia — lotnika; po raz trzeci chce chwycić kozła za rogi!

Jeszcze nie dopłynął do Ameryki zpowrotem, a już tamtejsi rodacy myślą o fundowaniu nowego samolotu dla niego! Musi, chce i — doleci! Cała Polska czekać będzie na swego bohatera i pysznić się nim radować, a teraz jak kochająca matka cieszy się, że go Bóg ocalił ze straszliwego niebezpieczeństwa i zachował dla Ojczyzny.

Zet.-Em.

przeliczył wpatrzoną w niego gromadkę „rozdziawiaków“ (tak nazwał w myśli przyszłych strzelców z Olszyny) i bez dłuższej gadaniny otworzył zebranie. Do stołu prezydjalnego zaprosił Antka i Kołduna. Ten ostatni nadął się jak indor, wypiął brzuch i spoglądając tryumfalnie na Wacka (darować mu nie mógł tej bramki) przepychał się ku stolowi. Minę ci pan sekretarz wystroił tak cudaczną, że Felek najpierw za gębę się złapał, a potem parsknął... Bractwo — jakby czekało sygnału — zarechotało gremjalnie. Instruktor przygryzł wargi i choć oczy mu się śmiały, uzbroidł twarz w srogiego marsa i uderzył w dzwonek, by uciszyć zebranie. Zaczerwieniony i zasapany Kołdun wygramolił się z pośród rozbawionej gromadki i dumnie zasiadł przy prezydjalnym stole. Umoczył pióro, przyręchtował papier i patrzył baranym wzrokiem na Antka. — Abo to człowiek wie, po kiego licha go tu posadzili — medytował. Pewnikiem pisać coś każą; przecie sekretarzem go pan instruktor obrał — nabzdyczył się i powiódł dumnym wzrokiem po zebraniu. Chłopcy uciszyli się; wpatrzeni w twarz instruktora — oczekiwali niecierpliwie jego słów.

Ten i ów gapił się rzetelnie na pana komendanta, oglądając z nabożnem rozdziawieniem gęby mundur i czerwone wężyki na kołnierzu.

Wreszcie instruktor powstał i rozpoczął przemowę. Mówił płynnie, dobitnie, z ogniem i niezłomną wiarą w słuszność swych słów. Klarował, co to są strzelcy, skąd się wzięli i jaką robotę prowadzą; mówił o „Dziadku“ — pierwszym strzelcu, co to chłopaków do roboty wziął, karabiny im w łapy wsadził i bić się za Polskę kazał. O wielkich, krwawych bojach, w których szary strzelec w garść pluł i moskali prał, aż pierze fruwało. O tem, jak to strzelcy i inne rzetelne chłopcy szwabów z ziemi ojczystej wykurzyli, aż portki niejeden pludrak zgubił, do Faterlandu wyrrywając. Fajnie ci mówił pan instruktor... Dziobaty Felek szturchnął w bok Wicka:

— Ci go! Gada, niczem nasz proboszcz na ambonie, ino zmiarkować podają. Zobacz — jak Kołdun wyjadaczkę rozwalil; połknie go, jako żywo...

Wicek syknął niecierpliwie i zasłuchał się w potok słów, płynący z ust instruktora.

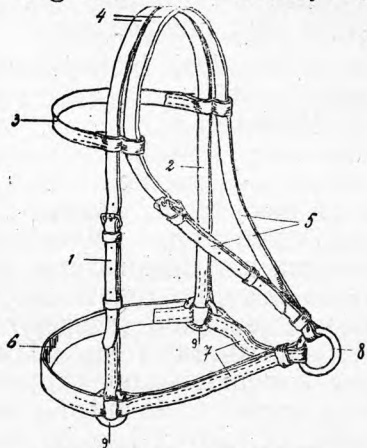
(C. d. n.)

Eska.

O uprzężach gospodarskich.

(Patrz NN 21, 22, 23, 25 i 27 „Mł. Gr.”)

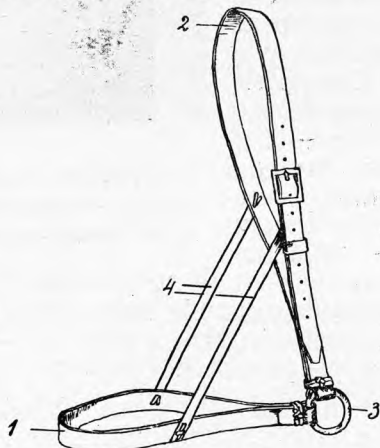
Szleja. Szleja składa się: z t. zw. **napiersia** — pasa, przy pomocy którego koń ciągnie, **nakarcz- nika** i **nagrzbietnika**, które utrzymują napiersie na odpowiedniej wysokości; nakarcz- niki znajdują się na przedzie przed łopatką, zaś nagrz- bietnik — mniej więcej



Uzdzienica kantarowa.

Uzdzienica kantarowa nadaje się i do zaprzęgu i do uwiązania konia w stajni; przy zaprzęgu wymaga wędzidla z przewleczką; 1) policzko lewe, 2) policzko prawe, 3) naczólek, 4) nagłówek, 5) podgardle, 6) nachrapnik, 7) podbródek, 8) kółko do uwiązania w stajni, 9) kółko do przewleczenia wędzidla.

na środku konia. Do części szleji należą jeszcze **postronki** lub **pasy pociągowe**, służące do sprzęgnięcia konia z wozem przy pomocy **orczyków**.



Kantar stajenny.

1) nachrapnik z podbródkiem, 2) nagłówek z podgardlem, 3) kółko do uwiązania w stajni, 4) skośniki, służące do wzmocnienia i utrzymania nachrapnika i podgardla na właściwym miejscu.

Pas napiersia obejmuje klatkę piersiową z trzech stron: z przodu i dwóch boków. W myśl tego — co już uprzednio mówiłem przy rozpatrywaniu zalet

i wad poszczególnych typów uprzęży — napiersie musi być tak umieszczone, by **dolnym swym brzegiem nie tamowało ruchu stawu barkowego** — a więc musi leżeć na szerokości dwóch palców ponad widocznym nazewnątrz guzem tego stawu; **od góry zaś napiersie nie powinno uciskać tchawicy**. Szerokość jego trzeba zatem tak dobrać, by wyżej wymienione warunki były zachowane; z drugiej strony jednak zbyt wąski pas nie będzie też dla konia wygodny; będzie stanowił zbyt małe oparcie i wrzynał się w ciało.

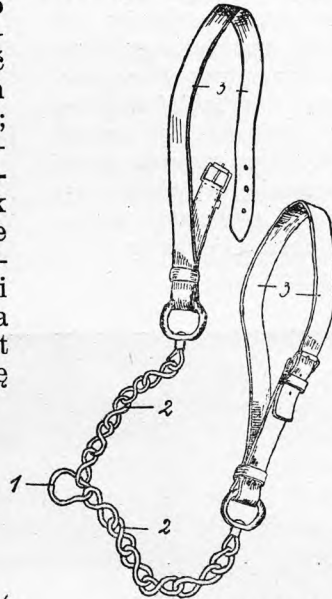
Do boków napiersia przyszyte są z każdej strony po jednej lub dwie sprzążki, do których przymocowuje się nakarcz- niki. Nakarcz- niki winien leżeć w miejscu, gdzie u konia przy nasadzie szyi tuż przed kłębem znajduje się wgłębienie — zwane „wcięciem siekiery”. Gdy napiersie ma po dwie sprzążki z każdej stro- ny — nakarcz- niki jest po bo- kach rozdwo- jony, tworząc jakby szelki; szelki te na- leży zapinać tak, by się **nie marszczyły**.

Jak wspominałem, położenie napiersia jest ustalone nietylko przez nakarcz- niki, lecz również i przez **nagrzbietnik**, który opasuje konia w pół od góry; na długość nagrz- bietnika należy zwrócić baczną uwagę, gdyż złe dosto- sowanie go do bu- dowy konia powo- duje podciągnięcie ku górze napiersia w miejscu — gdzie jest ono związane do nagrz- bietnika, skut- kiem czego przy ciągnięciu — kiedy

to napiersie wraz z postronkami dla patrzącego z boku winno tworzyć zupełnie prostą linię —

przy krótkim nagrz- bietniku linja ta ulega załamaniu, powodując **silne uci- skanie** na- der **wra- żliwego grzbietu** końskie- go przez nagrz- biet- nik.

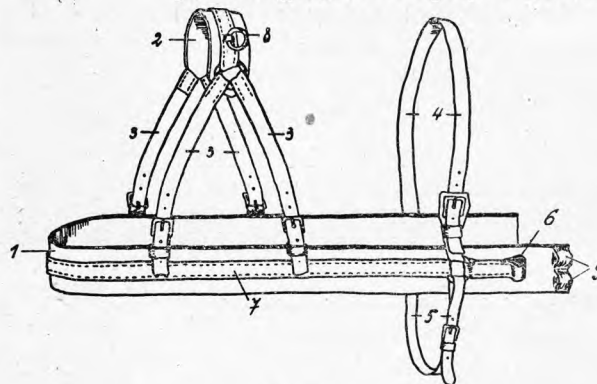
Radzi so- bie zwykle gospodarz na to w ten sposób, że



Naszelnik.

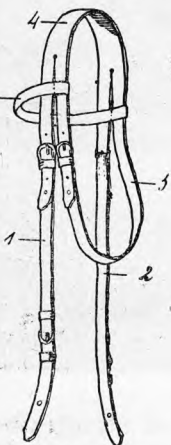
Naszelnik karkowy. 1) ogniwo, które zakłada się na dyszel, 2) łańcuchy naszelnikowe, 3) pętle naszelnika, z których lewa zapięta, a prawa rozpięta.

daje w tem miejscu podkład ze skóry baraniej lub filcu, albo nawet okrywa szmatami — czyli że z krótkiego już i tak nagrz- bietnika robi go przez podłożenie jeszcze krótszym. Nie pomoże tu żaden kożuch (nawet z całego barana); w tym wypadku trzeba postąpić wprost przeciwnie: nie podkładać, lecz **zdłużyć rze- mień**, bo odparzenie nie wynikło z twardości skóry, lecz z jej krótkości. Nagrz- bietnik musi być tak długi, by przy lekko na- ciągniętych postronkach **wesła pod niego jeszcze pięść**. (c.d.n.)



Szory.

1) napiersie, 2) nakarcz- niki, 3) szelki nakarcz- nika, 4) nagrz- bietnik, 5) podbrzusznik, 6) ucho do zało- żenia postronka, 7) pas wzmacniający napiersie, 8) kółko do przewleczenia leje, 9) przepusty po- stronków.



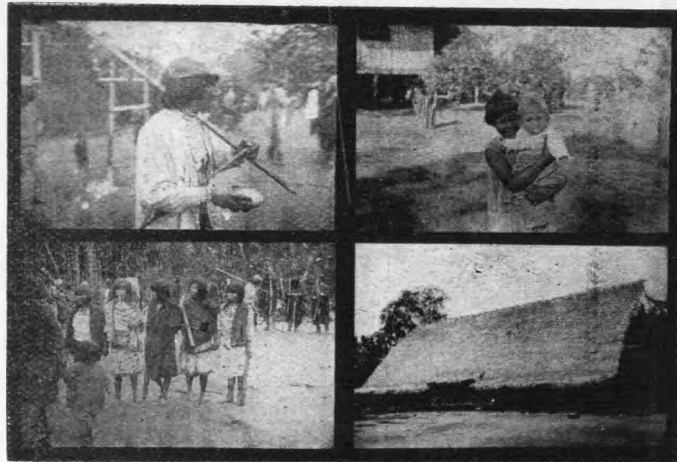
Ogłówek.

Ogłówek zakłada się tyl- ko przy zaprzęgan- iu; wymaga on wędz- idła z wąsem, by lejcami nie przeciągano go z jednej strony pyska na drugą; 1) policzko lewe, 2) policzko pra- we, 3) naczólek, 4) na- główek, 5) podgardle.

INDJANIE Z PERUWJAŃSKIEJ MONTANJI

(Korespondencja własna „Młodego Gryfa“).

Od Redakcji. Pragnąc dać Czytelnikom obraz życia rodaków naszych w dalekich egzotycznych krajach — zamieszczamy korespondencję z kolonii polskiej w Peru (Ameryka Południowa). W sposób barwny i plastyczny autorka kreśli warunki i otoczenie, w jakich żyje wychodźca polski, zmuszony poszukiwać chleba poza Ojczyzną.



1) Indjanin z plemienia „Chama“ w stroju uroczystym podczas święta „zabicia dzika“. 2) Indjanka z córeczką autorki. 3) Indjanki przygotowują się do piasów. 4) „Tamba“ czyli chałupa Indjan z plemienia „Chama“.

Każdy, kto wybiera się w podróż w dzikie i mało znane strony Południowej Ameryki, przedewszystkiem studjuje odpowiedni zapas literatury o danych okolicach.

I ja zrobiłam to samo; krwawe i krew w żyłach mrozące opisy nowożytnych Don Kiszotów, którzy — spędziwszy parę dni w którymkolwiek z miasteczek Peru, tomy całe wypisali o miejscach, w których nigdy nie byli, o mieszkańcach, których nigdy na oczy nie oglądali — przyparowały mi o ból głowy i szczerą niepokoj przed podróżą.

W angielskich czy niemieckich książkach, jakie wertowałam — podróż do peruwjańskiej Montanji przedstawia się jako przedsięwzięcie nad wyraz ryzykowne. Dzicy indjanie mieli mnie w każdej chwili obsypać zatrutymi strzałami. Na lądzie powinienam była oczekiwać co krok jadowitego węża, zdradliwego

tygrysa, potwornej anakondy*), czy innych potworów. Tymczasem są to wszystko brednie, obliczone na efekt.

Wążów jest bardzo dużo, to prawda, ale od czego wysokie buty, dobry kij w rękę, a w kieszeni na wszelki wypadek, przy wyprawach w głąb lasów — strzykawka i serum przeciw jadowitym ukąszeniom?

Tygrysy raczej uciekają przed ludźmi, a krokodyl jest niebezpieczny tylko wtedy, gdy się go chwyci ręką, biorąc za kawałek drzewa, jak to się przydarzyło sąsiadowi kolonii polskiej w Cumarii, który po tem „doświadczeniu bliższym roku leczyl się u polskiego lekarza, ale władzy w ręce, ukąszonej przez krokodyla, nie odzyskał.

W opisach podróżników najgroźniej przedstawiają się jednak władcy dziewiczych puszczy — Indjanie. O ludożerstwie plemienia Cashibów z nad Aguaitii (dopływ Ucayali) czytaliśmy w szkolnym podręczniku geografii Peru w Limie, ale mąż mój, który zwiędzał tę rzekę, nie zapuszczając się w głąb lądu, wrócił cało, nie utraciwszy ani kosteczki. Misjonarz francuski „padre Henrique“, który już dwadzieścia lat znajduje się w tych okolicach, nawracając Cashibów, nigdy nie widział wśród nich uczy z mięsa ludzkiego, choć Indjanie z innych szczepów opowiadali mu, że zwyczaj ten istnieje.

Jednak, zdaniem sąsiadów, Cashibowie zjadają tylko... mózg i serce zabitych wrogów, w celu przyswojenia sobie ich zalet.

Specjalność szczepu Huambisów, zamieszkujących okolice górnego Maranonu — to pomniejszanie głów zabitych wro-

*) Wąż boa, zwany też dusicielem.

gów przez odpowiednie manipulacje do wielkości pomarańczy, przyczem twarz zachowuje doskonale rysy zabitego. Głowkę taką oglądaliśmy w Cumarii i przyznam się, że nie robi to wrażenia zbyt przyjemnego.

Nie wielu jednak białych miało możność osobistego zapoznania się z Huambisami, bo ci, jak zresztą parę innych szczepów, nie wpuszczają zupełnie przybyszów na swój teren. Podług tutejszego zwyczaju wyprawom naukowym, czy misjonarzom towarzyszą zwykle przewodnicy, władający językami szczepów, do których wyprawa się udaje; idą oni z podarunkami naprzód i badają teren. O ile Indjanie nie chcą widzieć białych i podarunki odrzucają — ekspedycja zawraca, nauczona smutnem doświadczeniem paru poprzednich, które, nie zważając na nic, wdarty się na indjańskie terytorjum. Choć nieraz bardzo liczne i dobrze uzbrojone — ekspedycje te przepadły bez wieści. Campowie, Chamowie, czy Pirowie — najbliżsi sąsiedzi polskich terenów w Montanji — są jednak łaskawsi i — o ile spostrzegą, że biały podróżnik nie żywi względem nich wrogich zamiarów — tolerują jego obecność.

Nie można się wcale dziwić tej nieufności, jaką dziki mieszkawiec Montanji darzy białego. Mieli oni i niestety mają jeszcze sporo wizyt ostatniego rodzaju łotrzyków, którzy porywają im żony i dzieci, sprzedając je potem do miast lub hacjend. Niecynym tym procederem zajmują się przeważnie Hiszpanie i Portugalczycy; jeśli zropanieni Indjanie powstaną we własnej obronie, narażają się na przybycie karnych ekspedycyj wojskowych, przed którymi ratują się ucieczką w głąb

P. O. S.

zdobiąca
piers każdego
młodzieńca — to symbol
zrozumienia
potrzeby
pogotowia
obronnego
całego
kraju.



1) Typy Indjan ze święta dzika. 2) Ucayali. 3) Strzelanie z łuku w czasie święta dzika. 4) Robotnik-Indjanin czyści ziemię pod plantacje.

Czytajcie
i
prenumerujcie
**MŁODY
GRYF**

puszczy, zostawiając na pastwę ognia dotychczasowe osiedla.

Najbliżsi sąsiedzi polskich kolonistów — to łagodni Chamowie, którzy nie mają w sobie zupełnie wojennego animuszu.

Dzieciom swoim zaraz po urodzeniu przewiązują na czoło specjalne woreczki z piaskiem w celu zniekształcenia im głów; twarze i ciało tatuują lub smarują na czerwono sokiem rośliny „achote“, zęby malują na czarno, wargi i nosy zniekształcają ozdobami różnorakiego pochodzenia, na rękach noszą branzolety z malpich zębów, a na szyjach — jakgdyby kołnierze z paciorków.

Zdala od białych chodzą nago, ale nad brzegami rzek wkładają „cushmy“ — rodzaj długich brunatnych koszul,

recznie tkanych przez kobiety. Są oni niesłychanie brudni, a nieraz zdarzyło mi się widzieć całą rodzinę, siedzącą wkuczki na ziemi jedno za drugim, począwszy od ojca, a skończywszy na najmłodszej pociesze — przy czem każdy wybiera wszy sąsiadowi, a „lupem“ objada się z apetytem (!)

Mają też różnego rodzaju zabawy. I tak jeśli Chamce urodzą się bliźnięta, uważają to za karę za grzechy; jedno z dzieci żywcem grzebią a matką pomiatają — jakgdyby wyklętą. Wierzą też w uroki, i jeśli czarownik uzna kogoś za posiadającego „złe oczy“, choćby to było dziecko czy kobieta — ofiarę naprzód torturują, a następnie — przywiązaną do drzewa — wrzucają do rzeki.

Mają też oryginalne święta, np. święto przebaczenia. Na tę uroczystość kobiety przygotowują niezliczoną ilość sfermentowanego napoju z kukurydzy, zwanego „masato“. Wszystkie stare baby biorą się do żucia ziarenek kuku-

rydzy, które wypływają do specjalnego koryta, znajdującego się na środku domu. Dom taki, zwany tamba, jest to, nawiasem mówiąc, tylko dach palmowy na czterech słupach.

Poza masato znachorki znoszą na miejsce uczy zioła lecznicze, mające własności tamowania krwi, gotowane mięso, banany i jukę.

Gdy zebrani dobrze już podpiją, ci którzy mają coś na sumieniu — przeważnie uwodziciele cudzych żon (Indjanki wychodzą za mąż w wieku lat 10) podchodzą do skrzywdzonych mężów i nastawiają im swoje głowy. Obrażony bierze kozik — zwany „ushati“ — i z zamachem... tnie winowajcę w głowę.

Ponieważ zazwyczaj winny ma na sumieniu kilka podobnych grzeszków — wędruje po „pokucie“ od jednego do drugiego, aż w końcu zalanego krwią opatrują znachorki. Został jednak oczyszczony i uzyskał „przebaczenie“. Czasem jednak rany są bardzo poważne; nasz doktor po jednym z takich świąt miał pacjenta z głową prawie oskalpowaną.

Zazwyczaj jednak sprawy takie nie wychodzą poza koło wtajemniczonych.

Braliśmy udział w bardzo zabawnym święcie, polegającym na uroczystem zabiciu oswojonego dzika i leśnego pawia.

Uroczystości przedwstępne trwają zazwyczaj trzy dni, a gdy już wszyscy są naleźycie pijani — odbywa się sama ceremonia. Robi ona bardzo barwne wrażenie, bo wszyscy uczestnicy mają specjalnie uroczyste stroje, korony z piór ptasich na głowach, ładnie malowane „cushmy“, drewniane miecze w rękach i t. p.

Zwierzęta — fantastycznie przybrane — przywiązują pod specjalnem rusztowaniem o pięknie rzeźbionych figurach, śpiewają nad nimi coś w rodzaju naszych pieśni pogrzebowych, a w pewnej chwili najlepsi łucznicy zabijają zwierzęta z luków.

Teraz odbywają się dziwaczne tańce dookoła zabitych ofiar, wzmrożona pijatyka, w której biorą udział i najmłodsze dzieci, a potem kobiety biorą się do oprawienia i gotowania mięsa.

Zalowaliśmy bardzo, że nie mieliśmy aparatu kinowego, aby sfilmować całą tę ciekawą hecę.

Indjanie ucayalscy — nieocenieni jako wioślarze, są pozatem znakomitymi strzelcami. Siedmiolatek chłopak potrafi już z łuku ustrzelić ptaka; pozatem polują przy pomocy „pocuny“ — rodzaj długiej rury bambusowej, z której ustami wydmuchują maleńką zatrutą strzałkę.

Na ryby polują przy pomocy oszczepu lub też rzucają do wody trującą roślinę „barbasco“, po której tysiące oszołomionych ryb wypływa na powierzchnię rzeki, gdzie łapią je do koszów.

Ryby te są zupełnie nieszkod-



1) Groźny wojownik indjański z drewnianym mieczem. 2) Mąż autorki z oswojonym dwumiesięcznym tygrysem. 3) Dwie „piękności“ indjańskie. 4) Dzik, przywiązany do rusztowania.

liwe dla zdrowia, samo jednak „barbasco“ jest bardzo silną trucizną, używaną czasami przez Indjanki w celach samobójczych. Głównem pożywieniem Indjan

są ryby, banany, gotowane mięso zwierząt leśnych, owoce. Soli używają bardzo mało; dzicy wogóle jej nie znają, natomiast wśród wielu z nich panuje fatalny nałóg objadania się ziemią, co powoduje liczne wypadki śmierci.

Wierzą oni, że gdy ktoś ma umrzeć — poprzedniej nocy wzy-

wa go dusza zmarłego już członka rodziny, który wcielił się w ptaszka, zwanego „tunczi“. To też jeśli Indianin, a nawet biały mieszkaniec Ucayali usłyszy w nocy charakterystyczny gwizd owego ptaka — drży ze strachu i oczekuje pewnej śmierci w rodzinie.

Umarłych grzebią w swych tambach, ale śmiercią przejmują się bardzo mało.

Aby przedstawić zwyczaje jednego tylko szczepu, trzeba by napisać specjalną książkę; poprzestaną dziś na skreśleniu tych paru słów o najbliższych sąsiadach polskich kolonistów, w Cumarji.

L. O. P. P.

Gazy w wojnie przyszłości.

Samoloty i gazy — to czynniki, które zdecydują o zwycięstwie w przyszłej wojnie!

Korzystając z usług samolotów, przenieść można działania wojenne na dowolny teren, nawet do najdalszych zakątków kraju nieprzyjacielskiego.

Od chwili zerwania stosunków dyplomatycznych — zjawi się za parę kwadransów flota powietrzna z gazami bojowymi, aby obezwładnić wszelki opór, sparaliżować pracę sztabów, przerazić i zdemoralizować mieszkańców. Nie poradzi tu żadne wojsko, choćby najsilniejsze; przeciwnie — może zająć zjawisko, że im wojsko będzie większe, tem większy powstać może nieład. Flota powietrzna, wysłana do kraju nieprzyjacielskiego, może ukazać się tak nagle, że nie będzie już czasu nikogo uprzedzić; samoloty, zaopatrzone w kilka tysięcy kilogramów bojowych środków chemicznych, sterylizują w bardzo krótkim czasie nieprzygotowaną i bezbronną ludność.

W ciągu paru godzin całe miasta mogą być zburzone i spalone. Mieszkańcy, którzy nie zginą pod gruzami, zostaną tak złamani moralnie, że nie będą już zdolni do żadnej obrony.

Mobilizacja nie da się przeprowadzić skutecznie. Zanim padnie pierwszy strzał karabinowy, serce kraju zamrzeć może od natarcia powietrznego. Wszystko zginie w straszny sposób od wybuchów bomb, niosących śmierć i spustoszenie. W ten sposób zniszczyć można łatwo i skutecznie centralną siłę przeciwnika.

Badając obecny rozwój techniki w zakresie środków wybuchowych i pocisków gazowych, stwierdzić można, że **gaz jest znacznie skuteczniejszym środkiem niszczącym, niż materiały wybuchowe**, które osiągają tylko skutek miejscowy. Tym samym tonnażem pocisków z gazami trującymi można pokryć obszar kilku mil kwad-

ratowych dymem trującym, który położy kres wszelkiemu życiu na tej przestrzeni. Gazy bojowe rozpościerać się mogą **na przestrzeni 20 km.**, nie rozkładając się i nie tracąc swej trującej siły.

Gazy trujące zapewniają możliwość prowadzenia napadów cichych z powietrza. Flota powietrzna, unosząc się wysoko nad większym miastem, może wśród zupełnej ciszy zrzucić tysiące pocisków trujących i pokryć miasto śmiertelnym całunem.

Takie oto niespodzianki szykuje nam przyszłość. Trzeba się przed niemi zabezpieczyć przez należyte przygotowanie obrony przeciwgazowej. **Taką obroną przygotowuje L. O. P. P.**

* * *

Co czynić, by się obronić przed gazami?

Nasze niekorzystne tak pod względem geograficznym jak i politycznym położenie nakazuje nam liczyć się stale z możliwością ataków powietrznych. Nikt nie wątpi, że wojna przyszłości zacznie się od napadu lotniczo-gazowego.

Przeciwnik będzie atakował w głębi kraju wszystko, co posiada dla obrony jakiegokolwiek znaczenie. Wiemy doskonale, czym jest siła moralna narodu; wiemy też, że jednym z najłatwiejszych środków złamania tej siły będą ataki lotniczo-gazowe przeciw ludności cywilnej. Atakom powietrznym podlegać będą wewnątrz kraju przede wszystkim objekty o znaczeniu wojskowym, przemysłowym i politycznym, t. j. koleje, fabryki przemysłu wojennego, stolica i większe miasta. Następnie idą objekty, które bezpośrednio zagrażają stronie wojującej.

Obronić się przed napadami lotniczymi jest trudno ze względu na krótki okres czasu od chwili alarmu do manewru lotniczego. Obrona jednak jest możliwa, o ile będzie odpowiednio przygotowana. Naród, który stworzy najpotężniejszą flotę powietrzną i najbogatszy przemysł



Groźny ptak — hydroplan wojskowy nad morzem — wypatruje zdobyczy w postaci łodzi podwodnych lub nieprzyjacielskich okrętów.

chemiczny, będzie mógł szybko w razie potrzeby wyrabiać odpowiednie związki chemiczne; taki naród będzie mógł spokojnie spać w swej ojczyźnie.

Jeżeli tego nie uczynimy — będziemy wegetować do pierwszej próby ogniowej, aby przy pierwszym ataku lotniczo-gazowym zginąć bez-

apelacyjnie; obroni nas od zguby tylko należyte, systematyczne, powszechne przygotowanie się do walki przeciwgazowej. Takie przygotowanie prowadzi L. O. P. P. Kto chce przyczynić się do przyszłego zwycięstwa niech wstępuje w szeregi L. O. P. P.!

W. G.

Kącik Harcerzy.

„W Y P A D“

(Obrazek z życia Harcerskiej Drużyny Morskiej we Władystoku).

Cały obóz harcerski w pogotowiu do ćwiczeń nocnych.

Roi się — jak w ulu; każdy biega „w te i wewte stronę“, czegoś szuka i znaleźć nie może.

„Zastępowi na odprawę!“ — wyraźnie odtrąbił trębacz obozowy. — „Już początek nocnej eskapady“ — zawyrokowała cała gawiedź obozowa.

Po upływie niespełna pół godziny „Jaskółka“ w pełnym ożaglowaniu i oporzędzeniu podróżnym oczekiwała na swoją załogę.

Niedługo potem zabrzmiała komenda: — odbij! — prawa naprzód! — lewa wstecz! — raaz! — jeszcze dwa! — a później w nieskończoność: raazem — raz i dwa...

„Jaskółka“ z załogą — posłuszna woli sternika — prula niezmacone, spokojne fale morza Japońskiego; tarcza słoneczna szybko zapadała w głębinę wód.

Załoga z pod oka bacznie wpatrywała się w twarz sternika, chwytając każde spojrzenie — każdy ruch.

Najwięcej intrygowało i zastanawiało wszystkich — dlaczego sternik początkowo wpatrywał się w zarys brzegu, a później nagle skrzył w nieznaną stronę.

Po godzinnym wiosłowaniu — łódź zawinęła do małej piaszczystej zatoki. Kompani rozpalili ognisko i poczęli rozgrzewać zziębnięte gnaty.

Spokój niebawem przygasił rozgwar przy ognisku, a nużąca myśl zagadkowego wypadku na nieznaną brzegi oddała większą część młodszych żeglarzy w słodkie objęcia Morfeusza.

Nad spokojnym snem spracowanej wiary czuwał sternik-komendant; wyczekiwał niecierpliwie odpowiedniej chwili działania.

Gdy ciemności przejaśniły się w złocistych blaskach pełni księżycowej — zbudzona brać harcerska uważnie wysłuchiwała krótkiego, lecz dobitnego rozkazu.

Zadaniem naszym było, manewrując „Jaskółką“ pod żaglem i wiosłami, niepostrzeżenie wysadzić

załogę na brzeg w rejonie „szczurów lądowych“ i zapalić przygotowane ognisko na znak zdobycia obozu.

Padło jeszcze zapytanie: kto nie ma zapalek? — i rozpoczęła się żmudna praca.

Manewr żaglem, ograniczone posługiwanie się wiosłem i osierocenie „Jaskółki“ przez ukry-

cie załogi na „ściółce“ — zbliżały ją niepostrzeżenie ku upragnionemu celowi. Nagle powiał silny wiatr z morza...

Zakłopotane twarze poczęły wychylać się z za burty; lecz głos sternika przywołał współtowarzyszy do zachowania ciszy. Nie chcąc wyrwać się z ust komendanta słowa: „fajno; zobaczymy jak będzie później“.

Trudność podejścia tkwiła w tem, że miejsce, które miała „zaatakować“ załoga — pławiło się w blaskach księżycyca.

Nagły poryw wiatru energicznym susem wysadził dziób na mieliznę zatoki obozu; większa część zastępu skradała się przez linję czujek lądowców na wzgórze, by zapalić ognisko.

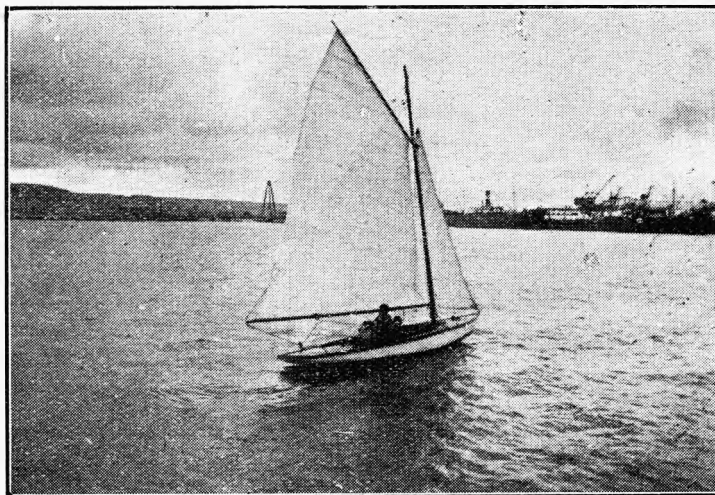
O ile podejście udało się w zupełności, o tyle nieprzewidziany wypadek sprawę powikłał; patrole rentowe odkryły miejsce przybicia szalupy i zamknęły desantowi drogę odwrotną.

Z trudem odbiła „Jaskółka“ od brzegu i z niepokojem czekała na powracających. Raptem buchnął krwawy blask rozpalonego ogniska zdobytego obozu, a tysiące iskier głosiły chwałę i zwycięstwo zastępu „Jaskółek“.

Cel osiągnięto — lecz załoga nie wróciła. „Szczury“ zamknęli odwrót; zdawało się, że już wszystko stracone, gdy nagle odezwał się sygnał „odtrąbiono“ na znak zakończenia ćwiczeń. Przyśługę tę oddał nam obudzony ze snu, nawpół przytomny trębacz, który później długo pluł sobie w brodę za swą lekkomyślność.

Zygmunt Jankowski.

I Morska Drużyna Harcerska w Gdyni.



Wyjazd na morze.

Z życia Policji.

Granatowa armja Torunia na własnym boisku sportowym.

Rok bieżący dla Polski jest w życiu sportowym rokiem odrodzenia. W ciągu prawie 1 sezonu polacy zmusili wszystkie cywilizowane narody do zanotowania 5 nowych rekordów światowych, a przecież wiemy, że to dopiero świt naszego rozwoju sportowego.

Rozmach w pracy, wytrwałość, pęd naprzód sportowców i ich kierowników — imponuje dziś i porywa już nietylko samych sportowców i młodzież, lecz i nasze stateczne matki i ojców rozpolitykowanych, którzy, zapominając o codziennych kłopotach, odkładają na bok gazety polityczne i szydełkowe robótki, by od swoich pociech dowiedzieć się czegoś nowego o tych kochanych „Kusocińskich i Heljaszach”, czy „przypadkiem znów nie pobili Nurmiego”.

A cóż dopiero młodzież? — Ta wprost szaleje.

Zapał do pracy i towarzyszące mu sukcesy w sferach arystokracji sportowej — udzielił się i szerszym masom. Nigdy dotychczas nie widziałem tylu zapalonych lekkoatletów, tenisistów, piłkarzy, kolarzy, pływaków, no i t. zw. po sportowemu „patałachów” — na boiskach, kortach i wodach. Formalna powódź sportowców i wyczynów sportowych.

Serce rośnie, gdy patrzę na tę ruszającą się żwawo dzieciarnię prawie, na starszych i najstarszych panów, na wesołe i zdrowe niewiasty; a gdy uprzytomnię sobie, że oni w danej chwili gromadzą w ten prosty, piękny i celowy sposób siłę fizyczną — fundament moralnej siły Narodu, że hartują nietylko mięśnie, lecz i wolę zwycięstwa, nosząc w sobie zaczątek dla przyszłych zdrowych, silnych i szczęśliwych pokoleń obywateli i obrońców Państwa — pragnę wówczas tych sportowców kochanych ująć w ramiona i przytulić do serca, bijącego z ich właśnie powodu — żywszem tętnem.

Zapał ten, a powiedziałbym epidemja sportowa — udzieliły się prawie wszystkim obywatelom, a więc i policjantom. Policjant — chociaż ma b. mało czasu na swe prywatne sprawy, jednak nie chce pozostać na szarym końcu nawet w dziedzinie przyjemności, szczególnie — jeśli te przyjemności noszą charakter pracy społecznej. Takim już jest; tak go wychowuje młoda Polska.

10 czerwca r. b. został oddany policjantom i ich rodzinom w Toruniu plac sportowy i kort tenisowy.

Plac ten ma 2 skocznie, 3 bieżnie jednotorowe, rzutnie oraz boiska do siatkówki i koszykówki. Bieżnie i kort są zbudowane na podłożu

żużlanem i tłuczonej cegły z nawierzchnią ilową. Boisko do gier po niwelacji — zdrenowane.

Dużo trawników, kwiatów i pnącego się wina oraz kilka rozłożystych drzew — tworzą b. miły obraz dla oka i składają się na estetyczną całość.

Gdy po wyczerpującej służbie znajdę się w tym przyjemnym zakątku, wśród szmaragdu zieleni, przetykanej barwami pomarańczowej bieżni, szarego kortu i setkami główek wielobarwnego kwiecia — wypoczywam ciałem i duszą. Wówczas wprost nie chce mi się wierzyć, że to samo miejsce było jeszcze przed paru miesiącami rumowiskiem, pełnem wody, pleśni i... żab.

O, pracy było dużo! Lecz robiło się chętnie, gorliwie — a nagroda tak wielka!

Powstanie tego pierwszego ośrodka dla pracy W. F. policji pomorskiej jest ogniwem w łańcuchu rozpoczętej w r. ub. przez Komendę Wojewódzką P. P. akcji propagandy nad zaszczepieniem za-

miłowania do sportu i systematycznej pracy sportowej w granatowych szeregach.

Inicjatorem i wykonawcą prac nad stworzeniem tej nowej placówki jest Komendant P. P. m. Torunia, Komisarz Głuchowski, który przez wzbudzenie wśród podkomendnych zapału do dobrowolnej pracy poza służbą — doprowadził to dzieło w czasie b. krótkim do pomyślnego końca.

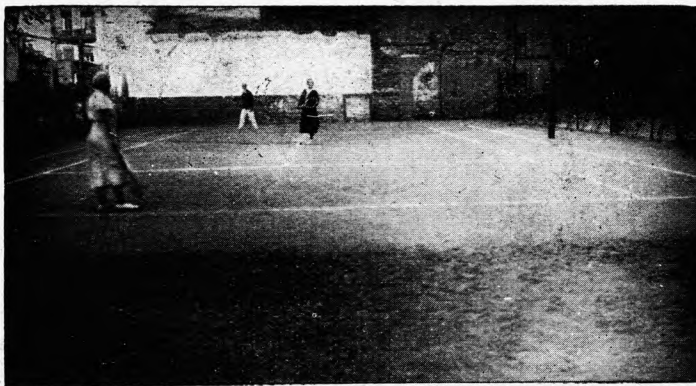
Stało się dziwo — mówią znajomi i nieznajomi. Istotnie; spor-

townicy, jak to powszechnie wiadomo, nigdy nie mają pieniędzy; a przecież zniwelowanie kawałka ziemi, nawiezenie i usypanie żużlu, piasku, tłuczonej cegły i t. p. — wymaga dużo pracy, gorliwych rąk, no i... pieniędzy, których w kasie Policijnego Klubu Sportowego było tak skąpo. Trzeba było włożyć w całą sprawę nietylko pracę, lecz i sporo inicjatywy. Zabiegi u p. starosty, w Magistracie i t. d., i t. d. — uwieńczyły dzieło i... boisko wybudowano.

Złotemi zgłoskami zapisał się w pamięci policjantów swą życzliwością i pomocą przy budowie boiska i kortu pan dr. Bogocz, starosta powiatowy.

A dziś — praca na boisku wre: biegają, skaczą i rzucają młodzi, poważniejsi i starszyzna policyjna; wypychają kulę i śmieją się serdecznie przy siatkówce, gdy przeciwnik odbija piłkę nosem, lub trafia nią w słupek. Na korcie — niewiasty i szarża. Piłki latają jak jaskółki tam i z powrotem, a zdarza się, że zwiedzają nawet dachy sąsiednich kamienic, gdy gra przechodzi w „wysoką klasę.”

Trenuje granatowa armja, bo chce być gotowa, gdy na 20 i 21 sierpnia b. r. zjadą się koledzy z całego Pomorza na święto policyjne i Policyjne Zawody Sportowe Wojew. Pomorskiego



Kort tenisowy Policijnego Klubu Sportowego w Toruniu — otwarty dnia 10 czerwca b. r.

do Torunia. Konkurencyj będzie dużo, chęci jeszcze więcej; oby tylko sił i umiejętności starczyło, co daj Boże!

A starczyć musi! Tylko trenujcie, ćwiccie — starsi i młodzi, a skronie wasze uwieńczy laur pierszeństwa, jak zawodników rzymskiego Olimpu.
Policjant.

**Zawody: Straż Gran. Lubawa — P. K. S. Nowe-
miasto — 65:58.**

Dwie bratnie organizacje państwowe: Straż Graniczna i policja Państwowa z terenu pow. lubawskiego w dniu 10 lipca r. b. zwały się ze sobą w zawodach lekko-atletycznych i strzelaniu z broni sportowej. Ambicja i wola zwycięstwa zawodników podnieciły zainteresowanie licznie zebranej publiczności m. Lubawy i gości. Zacięta walka o punkty dla swoich barw zmuszała widzów do ciągłego śledzenia wahającej się szali zwycięstwa na jedną lub drugą stronę oraz do dopingowania zawodników okrzykami „gaazu, gaazu!!“

Takie ciekawe i z wielu względów pożyteczne spotkania powinny być powtarzane częściej,

a inicjatywa p. p. Inspektora Braziulewicza i komisarza P. P. Skalskiego — winna znaleźć naśladowców i w innych przygranicznych powiatach naszego województwa.

Technicznie mecz Straży Granicznej i P. P. pow. Lubawskiego (P. K. S. — Drwęca) przyniósł zwycięstwo pierwszej w stosunku 65:58.

Program zawodów obejmował:

Strzelanie z broni sportowej na 50 mtr.

Zespołowo I miejsce — Straż Graniczna 208 pkt., indywidualnie I „ „ 42 pkt., II, III i IV — P. K. S. „Drwęca“ 41, 40 i 40 pkt.

W lekkiej atletyce:

Biegi: 100 — 13, 400 — 61 i 800 — 2.25, Skoki: w dal — 5,30, wzwyż — 1,49, rzuty: dyskiem — 28, granatem — 65 m., kulą — 9,92 m.

Organizacja zawodów — dobra. Kierownik zawodów — prof. Engiel. Sędzia główny — major rez. Engiel z Poznania.

Nagrodę zespołowi zwycięskiemu wręczył — po wezwaniu do dalszej owocnej pracy i szlachetnej rywalizacji na polu W. F. — p. Budnik, zastępca starosty lubawskiego.

Posterunkowy N.

KOLEJARZE POD BRONIA.

Ognisko K. P. W. Kaliska.

Ognisko Kaliska wzięło udział w zawodach odcinkowych (trójbój wojsk.) w Starogardzie 22. V. b. r. w liczbie 7 zawodników. Wyniki:

Strzelanie: I Reszka 64 pkt., II Dąbrowski 60 pkt., III Ryster 59 pkt., IV Narloch 49 pkt., V Kajut 56 pkt.

Rzut granatem 560 gm.: I Piotrowski 44 m., II Reszka 39.5 m., III Dąbrowski 34 m., IV Narloch 31.5 m., V Beling 30 m., VI Ryster 27 m.

Marsz 10 km.: I Kajut 65 min., II Dąbrowski 72 min., III Reszka 73 min., IV Beling 75 min., V Narloch 1,12 min., VI Piotrowski 1,15 min.

Liczebnie najsłabsze — zdobyło ognisko w zawodach I miejsce w marszu i rzucie granatem.

Pouczający pokaz ataku gazowego w Pruszczu-Bagienicy.

Dnia 11. VI. b. r. grupa kolejowa L. O. P. G. pod kierownictwem organizatora tego działu pracy kolejarzy na Pomorzu, inż. Stecewicza, urządziła pokaz ataku lotniczo-gazowego na stację Pruszcz-Bagienica. W pokazie wzięły udział drużyny K. P. W. ze wszystkich ośrodków Pomorza: z Bydgoszczy — najliczniejsze i najlepiej wyekwipowane, z Torunia, Grudziądza, Gdyni, Iłowa i t. d.

Pokazowi przyglądał się przybyły w tym celu z Warszawy Minister Komunikacji, p. inż.



Ogniska K. P. W.: Czarna Woda, Kaliska, Zblewo i Starogard na zawodach w dniu 22. V. 32 r.

Kühn, władze kolejowe pomorskie z prezesem — p. Dobrzyckim, wiceprezesem — p. Grützmacherem, prezesem Zarz. Okręgowego K. P. W. — ob. B. Welzem — na czele, przedstawiciele władz miejskich Bydgoszczy i Torunia, delegaci armji i licznie zgromadzona publiczność.

Atak lotniczy rozpoczął się o godz. 11.30. Od strony zachodniej nadleciało 9 samolotów i, podzieliwszy się na 3 grupy, rozpoczęły bombardowanie. W tym samym czasie na ziemi w różnych miejscach poczęły wybuchać bomby, rozsiewając gazy i dymy żółtawe, błękitne i czarne. Na pierw-

szy już alarm służba kolejowa i mieszkańcy ukryli się w schronach. W domach wszystkie okna pozaklejano paskami papieru na krzyż, celem zabezpieczenia przed wypadnięciem szyb od huku. Od bomb zaczął palić się dworzec. Dały się słyszeć oddalone jęki rannych i zagazowanych.

Po kilkuminutowym ataku kompletnie wyekwipowane drużyny ratownicze poczęły wynosić ze schronów apteczki i aparaty ręczne do odkażania, nosze, bandażę i t. p. Rannych i zagazowanych przeniesiono do schronów, następnie dokonano tymczasowego odkażenia terenu.

Straż pożarna zajęła się zlokalizowaniem pożaru dworca. W czasie 1/2 godz. nadjechały samochody ciężarowe z odkażaczami, służbą sanitarną i t. d., biorąc się do usunięcia skutków ataku. W 20 minut później przyjechał pociąg Czerwonego Krzyża, wioząc lekarzy, sanitariuszki i przybory przeciwgazowe.

P. Min. inż. Kühn obejrzał dokładnie teren, kolumny motorowe i pociąg sanitarny, następnie odebrał defiladę od drużyn ratowniczych. W defiladzie brało udział kilkaset osób.

K. P. W. Pomorskie włożyło w tę imprezę wiele dobrej woli i obywatelskiego poczucia.

WIADOMOŚCI SPORTOWE.

Toruń, dnia 21 lipca 1932 r.

Komunikat Nr. 12.

Pom. Okr. Zw. Gier Sportowych.

1) Nadzwyczajne Walne Zgromadzenie.

Dnia 3 b. m. odbyło się Nadzwycz. Walne Zgromadz. Pom. O. Z. G. S. Na zebraniu uchwalono nowy statut Pom. O. Z. G. S., który jest już w druku.

2) Zmiana adresu sekretariatu S. M. P. Mokre.

Podaje się do wiadomości, że obecny adres sekretariatu S.M.P. Mokre jest: „Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej” — Toruń-Mokre, ul. Bażyńskich.

3) Kursa gier sportowych.

Staraniem Okręg. Urzędu W. F. i P. W. odbędą się następujące kursa przodowników gier sportowych w Toruniu w Okręg. Ośr. W. F.

a) żeńskie — od 3. X. go 16. X. 1932 r.

b) męskie — od 29. VIII. do 11. IX. 1932, od 7. XI. do 20. XI. 1932, od 30. I. do 12. II. 1933 r.

Zgłoszenia uczestników przyjmują komendanci powiatowi P. W.

4) Odznaki P. O. S.

Podaje się do wiadomości, że pismem M. S. Wojsk. P. U. W. F. i P. W. L. dz. 256 Wyszcz. z dnia 8 lipca 1932 r. otrzymał „Zakład Artystyczno-Grawerski Jan Knedler Warszawa” zezwolenie na wyrób Państw. Odznak Sportowych wielkości naturalnej po cenach

P. O. S. brązowa 1,20 zł za sztukę

P. O. S. srebrna 1,40 zł za sztukę

P. O. S. złociona 1,70 zł za sztukę

Na odwrocie będzie wytłoczone: P. U. W. F. i P. W. 256--7--2/Wyszcz./32.

Wobec korzystnych warunków zakupu — polecamy P. O. S. zamawiać w powyższej firmie.

5) Państwowa Odznaka Sportowa.

Kto z członków P. O. Z. G. S. nie uzyskał dotąd P.O.S., a o takową się ubiega, może uzyskać z Pom. O. Z. G. S. zaświadczenie o wypełnieniu warunków, dotyczących gier sportowych.

6) Wakacje.

Ze względu na okres wakacyjny sekretariat Pom. O. Z. G. S. czynny będzie w czasie od 21. VII. do 15. IX. b. r. tylko we środy od godz. 18,30 do 19,30.

Za Zarząd: Sekretarz — Boldt, Prezes — Laurentowski, kpt.

Z Pomorza.

Sukces toruńczyków na mistrzostwach tenisowych w Inowrocławiu. Fryszczynowa i Stogowski dochodzą do finałów. W dniach 15—17 b. m. odbył się w Inowrocławiu Ogólnopolski turniej tenisowy. Fryszczynowa razem z p. Stogowskim po pokonaniu szeregu bardzo silnych przeciwników doszła do finału w grze mieszanej z parą Rudowska — Stolarow Maks. Stogowski, który powrócił do swej świetnej formy,

bije w singlu dobrą polską A klasę Tomaszewskiego i W. Szulca A. Z. S. Poznań 6:1 i 7:5.

W grze podwójnej Panów Stogowski, grając z p. Cramem W. L. T. K. Warszawa we finale, ulega parze Stolarow—Salmonowicz — przy wyjątkowej słabej grze swego partnera — w stosunku 6:2, 6:3.

Poza tenisistami toruńskimi w mistrzostwach Kujaw brał udział m. i. znany w Toruniu młody i doskonale się zapowiadający tenisista poznański, Bratek.

Poza tem odpadli w ćwierćfinałach: p. Neumannówna, pokonana przez Turczynównę z Poznania, Salmonowicz, Buziński i Andruchowicz („Legja” Warszawska).



Czwórka wioślarska, która walczyć będzie w Los Angeles o wawrzyny dla sportu polskiego.

Marsz Gdański — zorganizowany przez Zw. Strzel. Okręg VIII na wzór „Szlakiem Kadrówki” odbył się w niedzielę na trasie Toruń—Bydgoszcz 54 klm. ze strzelaniem dla drużyn wojskowych, strzeleckich i P. W. Start w Toruniu, meta w Bydgoszczy.

Zwyciężyła drużyna wojskowa 62 p. p. z Bydgoszczy; z drużyn strzeleckich — Zw. Strzelecki Obw. Toruń.

Z TYGODNIA

Wszyscy do Gdyni na „Święto morza”! Prace przygotowawcze do „Święta morza” są w pełnym toku.

Na terenie Gdyni wre wyteżona praca, mająca na celu zaspokojenie licznych zgłoszeń pod względem zakwaterowania i zaprowiantowania.

Program „Święta morza” przewiduje m. in. nabożeństwo, poświęcenie sprzętu morskiego, defiladę brygady pomor-

skiej kawalerji, która na ten dzień ściągnie z Torunia, oraz przemówienie prezesa Ligi Morskiej i Kolonjalnej, gen. Orlicz-Dreszera.

Dla podkreślenia wagi i znaczenia „Święta morza” Polskie Radio transmitować będzie jego najbardziej atrakcyjne fragmenty.

W związku ze „świętem morza“ Liga Morska i Kolonjalna organizuje zbiorowe wycieczki koleją i Wisłą — statkami „Żegluga Kocznej“.

Niechaj nikt, komu drogi jest nasz wąski skrawek wybrzeża morskiego, nie omieszka zmanifestować swych uczuć udziałem swoim w „święcie morza“.

Osoby, zamierzające brać udział w „święcie morza“, mogą korzystać z następujących ulg przejazdowych.

Podróż odbyć się może do Gdyni od dowolnej stacji PKP w klasach I, II i III pociągów osobowych i pośpiesznych i zpowrotem do stacji pierwotnego wyjazdu, a więc w obydwie strony za opłatą 70 proc. ceny biletu w jedną stronę.

„Iskra“ w drodze do Cherbourga. Okręt szkolny marynarki wojennej „Iskra“, w tych dniach wyrusza w letnią w podróż ćwiczebną do Cherbourga. Dalsza trasa podróży „Iskry“ prowadzi przez Lizbonę, Dakar, Hortę (Azory) przez Brest i Plymouth zpowrotem do Gdyni. — Ogółem „Iskra“ będzie w podróży 122 dni, w tym 82 dni na morzu. Powrót do Gdyni nastąpi w dniu 30 października. Na pokładzie statku znajduje się 18 podchorążych młodszego kursu wydziału morskiego Szkoły Podchorążych Marynarki Wojennej w Toruniu. — Komendantem jest komandor ppor. de Walden.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

R. Boroń — Dolsk. Z przyczyn od Redakcji niezależnych przesłanie nagrody uległo opóźnieniu; wysłaliśmy dn. 15 b. m. Za zwłokę przepraszamy.

H. Zieliński — Boniewo. Dziękujemy serdecznie za gorliwą współpracę. Tego rodzaju „kawalki“ strzeleckie zawsze chętnie wykorzystamy. Niech Pan przyśle nam zdjęcie swych „chłopaków“, Cześć.

Z. Sochaczewska — Wielkie Radowiska. Za miły, serdeczny list dziękujemy — jesteśmy wzruszeni... Gazetkę przesyłamy na nowy adres.

Zdjęcie z Helu wykorzystamy, lecz po otrzymaniu pięknego opisu owej wycieczki. Życzymy wesołych wakacyj i polecamy się pamięci.

Wachm. Jan Ogarek — Kościerzyna. A to pan wpadł, panie wachmistrzu!

Ułańskimi piosenkami,
Lampasami, ostrogami
Zdobyłem jej dumne serce.
Lecz dziś w strasznej jam rozterce!
Ciężkie na mnie przyszły czasy —
A to wszystko — przez lampasy.

Dobrze panu tak. Nie trzeba chodzić w nieprzepisowych spodniach, nawet gdy się zdobywa „dumne serce“.



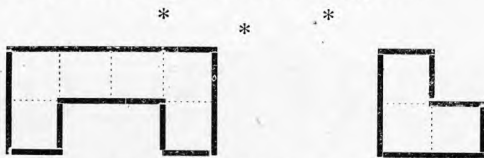
Dział rozrywek umysłowych



Znów nieco geometrii. Zauważyliśmy, że cieszy się największym powodzeniem. Prawdopodobnie z powodu tego dlubania kijaszkiem w piasku, co przyczynia się do znacznej oszczędności w papier i atrament. Chociaż skarży się nam żalostliwie jeden pechowiec, że gdy chciał zastosować się do naszej rady i wyruszył na piaseczek z „Młodym Gryfem“ pod pazuchą — tak się zagłębił w esy i floresy, że... mu skóra z pleców oblażała i „pasy“ sobie drze teraz w najlepsze. Współczujemy... Radziliśmy smarowanie szmalcem, względnie innym tojem, bo wiem lipcowe stonko nie żartuje. Radę tę przypominamy dziś, bo „kawalki“ bardzo ciekawe i łatwo się zagapić... aż do oblezienia ze skóry.

W nagrodę wylosujemy piłkę nożną.

Termin nadsyłania misternie wymalowanych rozwiązań upływa dn. 15 września 1932 r.



Z czterech figur takich, jak podana z lewej strony, ułożyć kwadrat z wyciętą z niego hitlerowską swastyką; z dwunastu zaś takich figur, jak owa z prawej strony — ułożyć krzyż z wyciętym z niego mniejszym krzyżem. Figury wycięte należy pokreskować, by wyraźnie odznaczały się od ułożonych.

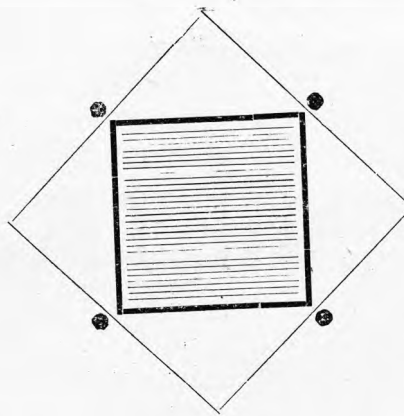
Rozwiązanie zadań z № 22.

Trafne rozwiązania obu zadań nadesłali: Romuald Stolarski, Hipolit Bugaj, Zofja Mroczkówna, Henryk Kuntz, Wacław Noga, Jan Kunicki, Sylwester Kosznik, Zofja Netkówna, Roman Boroń, Marjan Kalinowski, Mirosław Mańczak, Marjan

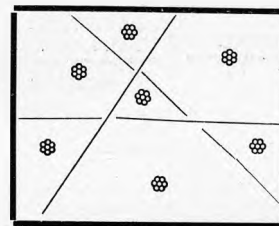
Handke, Ignacy Wiatr, Michał Sopoćko, Wincenty Goetzke, Michałina Walochówna, Szymon Rostek, Zofja Mrozowska, Walerja Maćkowiakówna, Jan Nowak i Karol Miska.

Nagrody wylosowali: Zofja Netkówna — Rekownica, poczta Nowy Barkoczyn i Romuald Stolarski — Oddział Z. S. w Boniewie, poczta Boniewo.

Zadanie 1.



Zadanie 2.



WESOŁY KĄCIK

W KAWIARNI.



— Jakiś ty nieuprzejmy! Już pół godziny opowiadam ci same ciekawe rzeczy, a ty ciągle jesteś gdzieś zapatrzoney. Gdzie ty właściwie patrzysz?

— Na wieszak. Uważam na swój kapelusz, żeby mi nie zginął. Twój już przed kwadransem znikł.

W SĄDZIE.

Sędzia: A więc jak to było z tem biciem? On was uderzył w twarz i co dalej?

Oskarżyciel: Potem, proszę pana [sędziego, dał mi trzeci raz w pysk.

Sędzia: Powoli, powoli. Przecież musiał wam dać najprzód drugi raz.

— Nie, panie sędzio, drugi raz to ja jemu dałem.

DOSŁOWNIE.

Śpiewaczka: — Czy zauważył pan, jak mój głos wypełnia całą salę?

— Owszem, nawet sporo osób odeszło, żeby zrobić miejsce!

RÓŻNIE BYWA.

X. — Cóż tam u państwa?

Y. — Dziękuję: nasz najmłodszy synek nie ma jeszcze dwóch lat i już biega.

X. — Mój Boże! Nasza najstarsza córka ma już lat 30 i jeszcze siedzi...

ROZMÓWKI KRYZYSOWE.

Oszczędna dama daje się portretować.

— Pani ma rysy wyjątkowo łatwe do uchwycenia — powiada malarz.

— Jaki daje pan rabat wobec tego? — pyta dama.

CZUŁA ŻONKA.

— Straszny tu przeciąg przy tem oknie. Możebyś ty tutaj usiadł, mój drogi, ty i tak już masz reumatyzm.

WPŁAĆ

zaległą prenumeratę za II kwartał i wywiązuje się nadal sumiennie z obowiązków czytelnika.

PAMIĘTAJ

że od regularnego uiszczania prenumeraty zależy dalszy pomyślny rozwój „Młodego Gryfa“.

MUNDURY P. W.

dla wszelkich organizacyj
HARCERSKIE MUNDURKI

poleca najtaniej

DOSTAWA SPORTOWA

SPORT - BŁOCH

Katarzyny 5 TORUŃ Telefon 276

■ Żądajcie cenników ■

Warunki prenumeraty:

rocznie	12 zł
półrocznie	6 zł
kwartalnie	3 zł
miesięcznie	1 zł
numer pojedynczy	25 gr

Redakcja i Administracja: Toruń, Rynek Staromiejski 10.

Tel. Red.: D. O. K 59 Nr. P. K. O. 160 365 Tel. Adm.: D. O. K. 144

Redaktor: Leon Makowiecki, Toruń, Koszary Marsz. Piłsudskiego. Administrator: Alojzy Batke.

Wydawca: Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza z odp. udz. Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Nadesłanych rękopisów i fotografii Redakcja nie zwraca.

DRUKARNIA SPÓŁDZIELCZA TORUŃ.

Ogłoszenia:

Strona	200 zł
1/2 strony	110 zł
1/4 strony	70 zł
1/8 strony	40 zł
1/16 strony	25 zł

BIŻUTERIA
I KOPERNIKA
TORUŃ